

BESTIA

RADOSŁAW LESISZ

Radosław Lesisz

Bestia

© Copyright by Radosław Lesisz 2013

ISBN 978-83-272-4031-6

„Można sobie wybierać drogę,
ale nie ludzi, których się spotyka”
(Arthur Schnitzler)

Jeden

Gdy wieczorem Mariusz Galter wyjeżdżał swoim samochodem, aby dojechać na czas do miejsca, w którym mieściła się jego firma i aby później szybko rozwieść materiały budowlane na budowę, nie przypuszczał, że rano zaskoczy go potwornie gęsta mgła, która zmniejszała widoczność zaledwie do kilku metrów, toteż mądrym było zredukowanie prędkości do minimum. Lecz takie właśnie było jego życie i praca. Gdy kazano mu coś robić, nawet jeśli miałby ruszać się z domu w nocy, musiał to po prostu wykonywać, gdyż i tak płacono mu wystarczająco dużo, a po drugie - strasznie lubił prowadzić samochód. Zawsze w taką pogodę zdobywał większe doświadczenie. Pamiętał, że jadąc jakiś miesiąc temu w podobną do tej pogodę, jakiś kretyn, któremu widocznie się bardzo spieszyło, o mały włos nie spowodował wypadku w postaci zderzenia czołowego. Galterowi wtedy całe życie przeleciało przed oczami. Facet wszedł w zakręt z nadmierną prędkością i wychodząc z niego zajął cały pas Galtera. Tylko przytomność dostawcy przyczyniła się do uniknięcia fatalnej w skutkach stłuczki. Pamiętał również, że ów facet prowadził w stanie wskazującym na spożycie alkoholu i nie był chyba świadomy tego, co czynił. Gdy już minął się z nim, we wstecznym lusterku zobaczył, jak facet dachuje, posuwając się w kierunku pobliskich drzew.

Mijając jakąś wioskę przypomniał sobie również, jak wjechał kiedyś w gromadę przechodzących gęsi. Niestety nic nie miał na swoje usprawiedliwienie, ponieważ była wtedy piękna pogoda, a co za tym idzie wyśmienita widoczność. Z gęsi nic nie zostało, a że w pobliżu zdarzenia był właściciel rozjechanego mienia, toteż przyzwoitość nakazywała mu zapłacić za spowodowanie szkód w hodowli. Oczywiście w tym dniu spóźnił się do pracy i budowa, na którą miał zawieść niezbędne narzędzia, nie ruszyła. Owe budowy nie były aż tak wielkie. Sprowadzały się jedynie do pojedynczych pomieszczeń przyszłych teatrów lub kin.

Galter lubił swoją pracę. Nie miał rodziny, więc nocne wypadki nie przeszkadzały mu zbyt wiele. Jego koledzy po fachu zazdrościli mu trochę pod tym względem. Płaca, jaką dostawał,

wystarczała mu w zupełności, lecz ktoś, kto posiadał przy tym troje dzieci, mógł i miał prawo skarżyć się, że jednak te zarobki są zbyt małe. Jednak na ten temat Galter nie wypowiadał się za często. Uważał, że człowiek jest jedynie wtedy szczęśliwy, jeśli praca sprawia mu przyjemność, a sprawy związane z pieniędzmi traktuje jak sprawy drugorzędne. Oprócz pracy lubił przyrodę. Nie był fanatykiem przyrody, jak określał ekologów, ale zawsze czuł, że lepiej jest, gdy w pobliżu słychać jakieś ptaki, bo i lepiej robi się człowiekowi, gdy ma on poczucie, że na tej planecie istnieją jeszcze inne organizmy, które urozmaicają życie i sprawiają, że nie jest ono takie monotonne i nudne, jak coraz częściej jest postrzegane.

W swojej karierze dostawcy napotkał się kiedyś na blokadę drogową, spowodowaną przez ekologów przeciw budowie autostrady. Wtedy to już całkiem poważnie spóźnił się do pracy i otrzymał naganę. Od tej pory unikał wszelkich blokad, wszelkich starć policji i służb porządkowych z fanatykami przyrody. I tak miał wiele spraw na głowie, niepotrzebne mu były jeszcze jakieś dodatkowe powody do zmartwień i stresów.

Jechał teraz sam jak palec, nie widząc w pobliżu siebie żadnego pojazdu. Lecz co miał zobaczyć, dochodziła trzecia rano i inni o tej porze zwyczajnie jeszcze spali. Myślał, że i on mógłby jeszcze spać, ale wtedy nie zasiadłby za kierownicą, za tym, za czym lubił zasiadywać najbardziej. O jakiej godzinie nie miałoby to być, on zawsze chętnie wsiadał w samochód i wyruszał w swoją trasę. Zazwyczaj nie czuł zmęczenia i mógł jechać nawet całą dobę bez chwili snu, lecz dzisiaj było inaczej. Dzisiaj był jakiś zmęczony, a przy tej pogodzie jego zmęczenie wzrastało dwukrotnie. Dziwił się sobie, gdyż już nieraz prowadził w takich warunkach atmosferycznych i nic mu nie było, ale dzisiaj po prostu chciało mu się spać. Im więcej o tym myślał, tym jego cierpienia stawały się coraz większe, tym bardziej nie mógł uwierzyć, że jest właśnie w takim stanie.

Jego samochód poruszał się spokojnie. Spokój, który panował również na drodze, przez nic nie mógł być zakłócony. Lecz było jeszcze coś niepokojącego, coś, co jakby obserwowało przejeżdżający samochód, coś, co było prawdopodobnie odpowiedzialne za

to, w jakim stanie był Galter. I chyba właśnie to coś spowodowało, że nagle auto dostawcy zaczęło się niepokojąco zachowywać i powoli zmierzać w kierunku przydrożnych drzew. Pojazd, który przecież jeszcze pięć minut temu poruszał się bez zarzutów, teraz zwariował. Gnał, niczym torpeda i nic nie było w stanie go zatrzymać, pokonał szczęśliwie jakiś zakręt, lecz to, co miało się zaraz stać, było do przewidzenia. Poruszając się już bardzo chaotycznie, samochód wjechał z całym rozpędem w wysokie drzewo-pomnik przyrody, które w ułamku sekundy utraciło swą muzealną wartość. W momencie zderzenia Galter, który nie wiedząc, czemu nic nie robił, by zapobiec wypadkowi, wystrzelił przez przednią szybę i zatrzymał się na niej. Poduszka powietrzna i zapięte pasy być może uratowałyby mu życie, lecz na takim odludziu nie było chyba nikogo, kto by go uwolnił od krępującej uwięzi. Zobaczył wprawdzie jakieś światło, ale świadomym był tego, że mogła to być jego wyobraźnia spowodowana szokiem powypadkowym. Zobaczył jeszcze coś. Widział to już niewyraźnie, gdyż powieki stawały się coraz cięższe. Było to coś latającego, dającego jaskrawozieloną łunę, lecz czy widział to naprawdę, nie był pewien, gdyż musiał zamknąć oczy, ponieważ krew zaczęła drażnić jego tęczówkę. Poczuł, że coś zadaje mu ból w uchu, że coś wchodzi mu do ucha. Miał zakrwawione czoło, więc mogła to być zwyczajnie krew, ale czy na pewno? Nie mógł być przecież w tej chwili pewien, nie mógł być niczego pewien, może za wyjątkiem tego, że zaczynał tracić przytomność. Światło, które widział, zanim zamknął oczy, wciąż się zbliżało.

Dwa

Była piąta rano. Anna Kamińska wracała właśnie z delegacji, na której spędziła cały miesiąc i nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie zobaczy swoich pięcioletnich bliźniaków. Kochała je bardzo, lecz jedynym kontaktem z nimi był kontakt telefoniczny. Płakała z rozpaczy, gdy odkładała słuchawkę i nie mogła już słyszeć ich głosu. I właśnie dlatego nie lubiła tego typu wyjazdów. Zawsze trzeba było przebywać daleko od bliskich, a w przypadku Kamińskiej owa czynność była potwornie męcząca.

Wjechała w jakiś las. Oświetlona droga zachęcała do tego, by po niej jechano i jak na takich drogach bywa, tak i tu punktem charakterystycznym była wyśmienita widoczność i chyba tylko dlatego Kamińska spostrzegła w oddali jakiś samochód, który z niewiadomych dla niej przyczyn umiejscowił się w środku starego drzewa. Zatrzymała się i najszybciej, jak tylko mogła, podbiegła do miejsca wypadku. Z każdym metrem widziała więcej, lecz do takich widoków zdążyła się przyzwyczaić. Jej lekarskie doświadczenie w takich sytuacjach nie zawodziło. Gdy przybliżyła się do roztrzaskanego samochodu, zobaczyła zakrwawioną twarz mężczyzny. Chciała przystąpić do czynności reanimacyjnych, lecz już na pierwszy rzut oka stwierdziła, że facet nie żyje. Obeszła wkoło auto, próbując ustalić przyczyny wypadku i jedyną myślą, jaka jej przychodziła do głowy, była nieuwaga jadącego lub po prostu zaśnięcie. Postanowiła bliżej przyjrzeć się owemu mężczyźnie. Wyglądał normalnie tzn. jak na osobę poszkodowaną w wypadku. Zastanawiające były jedynie jego usta i uszy. Facet musiał cierpieć na jakąś paskudną chorobę, gdyż jego wargi były rozmyte, skóra w pobliżu przyjmowała takie same właściwości, jak usta, była prawie czerwona. Kamińska stwierdziła, że nie mogło to być spowodowane wypadkiem, gdyż w przeciwnym razie cała twarz, a nie tylko okolice ust, wyglądałaby podobnie. Natomiast uszy były najbardziej zagadkowe. Wyglądały one prawie normalnie. Rzeczą odróżniającą je i tajemniczą była barwa na wewnętrznej ich stronie. Tajemniczy zielony kolor mazi, która pokrywała większość powierzchni ucha, był podobny do śladów, jakie pozostają po ślima-

ku. Żeby to zbadać dokładniej, Kamińska nachyliła się nad sztywnym już ciałem Galtera. Nie myślała, że może być przez kogoś lub coś zaskoczona. W ułamku sekundy coś wleciało do ust Kamińskiej. Poczuła okropny ból w okolicach przełyku, była pewna, że zwymiotuje. Chciała zwymiotować, lecz coś, co teraz pochłaniało jej organizm, zabraniało jej tego, powodując większy ból, który przez ten czas zaczął być odczuwalnym w żołądku. Miała nadzieję, że ktoś będzie przejeżdżał. Przypomniła sobie o telefonie w samochodzie. Nie spodziewała się jednak, że dojście do stojącego obok auta, przysporzy jej aż tyle kłopotu. Zataczając się, dobrnęła do jednej rzeczy, łączącej ją z cywilizacją. Wezwała pogotowie i odwróciwszy się jeszcze raz spostrzegła, że owe zielone plamy, które widniały na uszach Galtera, zniknęły. W całej tej sytuacji zapomniała o swoich, długo nie widzianych dzieciach. Chciała do nich zadzwonić, lecz ból, który ogarniał cały organizm, zniweczył jej plany. Zemdląca.

Trzy

Zaraz po zawiadomieniu o wypadku żony, Ernest Kamiński odwiózł dzieci do teściowej i czym prędzej pognął do szpitala, gdzie aktualnie przebywała najdroższa mu osoba. Nie mógł jeszcze dojść do siebie po tej przykrej wiadomości, nie wiedział, co czynić. Miał obawy w związku z tym wyjazdem i nawet namawiał Annę, by jednak nie jechała. Upierając się, postawiła na swoim, może dlatego, iż Ernest był bardzo uступliwy i nie lubił się spierać z osobą, którą kochał. Jego koledzy z pracy często się z tego powodu z niego nabijali, że jeszcze tego będzie żałował, lecz on wiedział, iż tylko takie stosunki z żoną są najlepsze i nie powodują żadnych niepotrzebnych zatargów i nieporozumień. Właśnie takie argumenty potrafiły zmusić jego kolegów do refleksji, gdyż w większości byli to ludzie, którzy traktowali kobiety jak swoją własność i przez to nie żyli oni tak jak Kamiński.

Zajmował się tym, co umiał najlepiej i co wykonywał prawie od samego początku swojego dorosłego życia. Był kierownikiem działu zaopatrzenia w szpitalu, w którym pracowała Anna. Lubił to stanowisko, ponieważ wiedział, że zdobył je ciężką, mozolną i w wielu przypadkach pełną cierpliwości pracą. Po prostu zasłużył na nie.

W końcu dojechał na miejsce. W ułamku sekundy znalazł się w recepcji. Recepcjonistka spokojnie popatrzyła na zdenerwowanego człowieka i nic nie mówiąc, powróciła do swoich papierków.

– Przepraszam bardzo, czy może mi pani łaskawie pomóc? – rzekł podirytowany tym zachowaniem.

– Czemu pan tak od razu się denerwuje? Trochę spokoju – odpowiedziała chrapliwie.

– Gdyby pani mąż brał udział w wypadku samochodowym, jak by się pani zachowywała? – uspokoił się najbardziej, jak potrafił.

– To pana zawiadamiałam? Ja bardzo przepraszam, ale dzisiaj różne rzeczy się dzieją i sama już nie wiem co.

– O czym pani mówi? Ja tylko chciałbym się dowiedzieć, co stało się z moją żoną i jak ona się czuje.

– Niestety muszę pana zmartwić. Chociaż stan pana żony był już dobry, koniecznym jednak było przewiezienie jej do specjalistycznego szpitala, w którym można by było stwierdzić, co wtargnęło do organizmu pana żony. W tym momencie nic więcej nie mogę powiedzieć.

– Gdzie mieści się ten szpital? Chcę natychmiast widzieć się z żoną.

– W Norwegii. Przykro mi, ale nie dopuszczą pana do niej, gdyż nie stwierdzono dobrze, co to właściwie jest. Jeszcze nie spotkano się z czymś podobnym.

– To co mam robić? – załamał się. Tak bardzo chciał zobaczyć ukochaną osobę, lecz nic nie wskazywało, że nastąpi to prędko.

– Proszę się położyć. Przygotowaliśmy jedno łóżko. Niech pan spróbuje się uspokoić i zasnąć.

Tak też uczynił. Przez jego umysł przelatywały najczarniejsze myśli i nic nie mógł na to poradzić. Oddalając się od recepcji, usłyszał jedynie dzwonek telefonu, ale jego to nie obchodziło, rozmyślał tylko o Annie. Wszedł do jakiegoś pomieszczenia, gdzie na środku znajdowało się jedno łóżko. Ustawił buty obok łóżka i położył się. Słyszał jakieś szmery, była to chyba rozmowa dwóch lekarzy, którzy dyskutowali na temat zarobków. Doszło chyba nawet do sprzeczki, ale niebawem nastała cisza.

Annę poznał właśnie w szpitalu. Był wtedy zaopatrzeniowcem, dostarczał narzędzia chirurgiczne, środki dezynfekujące i inne tego typu rzeczy, ona natomiast - świeżo zatrudniona studentka, była wtedy zupełnie obca, niedostępna, daleka. Wtedy znał ją jedynie z widzenia, nie mówili sobie „dzień dobry”, nie wymieniali się spojrzeniami. Przełom nastąpił wtedy, gdy jej bezpośredni przełożony chciał, aby dostarczono mu białe prześcieradła. Zadziwiającym było to, że tak proste przedmioty i zdarzenia potrafią doprowadzić do poznania i potem łączenia ludzi. Wtedy zobaczyła go pierwszy raz, on także widział ją po raz pierwszy z tak bliska. Na początku było to jedno krótkie spojrzenie, chyba razem byli tego świadomi, że obserwują się nawzajem. Ale na tym się skończyło. Kamiński ujrzał ją dopiero po upływie dwóch tygodni. W

ten dzień to właśnie ona odezwała się do niego, jej głos był łagodny i serdeczny. Tak proste wyrazy jak „dzień dobry” zmusiły go do refleksji. I w tym przypadku na tym się skończyło, spieszył się, gdyż czekała go jeszcze rozmowa z szefem, a ten z kolei nie lubił spóźnień.

Kiedy jechał do domu, zauważył Annę, która szła chodnikiem, w prawej ręce niosła pełną reklamówkę zakupów. Jej jasne włosy kołysały się swobodnie to w prawo, to w lewo, w rytm kroków. Postanowił ją podwieźć, miał ogromną nadzieję, że będzie po drodze. I tak też się stało. Pasażerka nie kryła radości, jej uśmiech i podziękowania trwały jednocześnie tak długo, dopóki nie nastąpiło oficjalne przedstawienie się.

Rozmawiało im się wysmienicie, jego poczucie humoru zawocowało tym, że Anna ośmieliła się zapytać, czy nie mogłaby wracać z nim po pracy. Okazało się, że mieszkali od siebie w odległości trzech przecznic. Wszystko wskazywało na to, że będzie to piękna, owocująca znajomość.

Prawdziwy jednak przełom nastąpił w dzień, w którym Anna Borczyk wstawiła się za nim u szefa, gdyż przywiózł nie to, co trzeba. Jej przełożony strasznie krzyczał, w ogóle był nerwowy, potem jego złość wyładowała się na jej osobie. Po tym zajściu, w akcie wdzięczności, Kamiński zaprosił ją do restauracji, gdzie przyjrzał jej się bardzo uważnie. Miała twarz, która musiała często się uśmiechać, gdyż na policzkach i skroniach widniały przyjemne zmarszczki. Jej oczy były zielone, wyrażały każde uczucie, były szczerze.

– Panie Kamiński! – zaczął ktoś wołać. Natychmiast zeskoczył z miejsca odpoczynku, wsunął buty na nogi i pomknął w stronę recepcji. Będąc już na miejscu, zobaczył poznaną wcześniej kobietę, dwóch lekarzy, najprawdopodobniej tych, których słyszał. Wszyscy mieli twarze poważne, nikt nie ośmielał się przemówić pierwszy, nikt nie chciał wziąć na siebie ciężaru wiadomości, które mieli do przekazania.

– Słucham – rzekł.

– Mamy złe wiadomości – odważył się jeden z lekarzy.

– Pana żona nie dotarła na lotnisko, gdzie była transportowana. Uciekła z pędzącej karetki i nie odnaleziono jej.

– To gdzie ona jest?!

Cztery

Jak zawsze Tomasz Hutson po skończonej pracy wraz ze swymi kumplami szedł do knajpy. W całym jego życiu najbardziej cieszył się z tego, że bez żadnych przeszkód codziennie szedł ze stałą ekipą do miejsca, jak często je nazywał, upojenia i zapomnienia. A miał o czym zapominać. Pół roku temu przez niego zginęło czterech drwali, gdyż pozwolił im oddalić się od miejsca pracy, podczas gdy ścinano najokazalsze drzewa. Dochodzenie nic nie wykryło, bo Hutsona osobiście nie dotyczyła ta sprawa. Był przecież jednym z nich, jednym z frajerów, którzy odwalają całą tą zasaną robotę za tak niskie pieniądze. Ale istniała rzecz najważniejsza, do której się nie przyznał, a teraz ciągle powracała w postaci gryzącego sumienia. Wiedział, że wycinają drzewa, a mimo to pozwolił im odejść, pozwolił im, jak chcieli, zbierać grzyby. Tak więc codziennie topił swe smutki w piwie, a jego kumple jedynie obserwowali, jak się staczał.

– Zapomnij już o tym, byli dorośli – rzekł Artur Gomola.

– Już zapomniałem, tylko mi przypominasz. Chyba powoli oswajam się z tym, a jestem tu, bo lubię – skłamał. Nie chciał jeszcze raz rozmawiać z nimi o tym, gdyż i tak nie miałoby to sensu. – Zamiast przypieprzać się do mnie, pogadajmy o tobie – tu Hutson wskazał na siedzącego naprzeciwko potężnego mężczyznę o rudych włosach i krótkiej koziej bródce.

– A o czym tu gadać?

– Na przykład o twojej nowej pupci. Czy teraz też dostaniesz po gębie za swoje zachowanie?

– Nie mów tak o niej...

– Jakoś ci to kiedyś nie przeszkadzało. Czy może bierzesz to poważnie? – wtrącił się siedzący na rogu Roman Wark. Był to stosunkowo niewielki człowiek, ale bardzo żywiołowy.

– Nie śmiej się, ona jest inna niż te próżne baby, z którymi się spotykałem. Ona jest piękna i wyrozumiała, chyba to coś poważnego... – przerwał, gdyż koledzy poczęli się śmiać. Nie dowierzali własnym uszom. Człowiek, który wykorzystywał kobiety na

wszelkie sposoby, używa tak wyniosłych słów i wkurza się, gdy na swoją dziewczynę słyszy wulgarne słowa.

– Robisz sobie jaja? Może jednak jest to coś poważnego – rzekł Hutson. – Nigdy nie widziałem cię w takich chmurach.

– Będziecie grzeczni, to zapoznam ją z wami. Mniej chamskich słów i wszystko będzie OK. – powiedział Gomola i łyknął z kufla pieniące się piwo. Koledzy uczynili podobnie.

– Nie ma to jak dobre piwo – rzekł Wark i poklepał się po brzuchu.

– Święte słowa – zaśmiał się Hutson, patrząc jednocześnie w duże prostokątne okno. Zaciekawiała go jakaś kobieta, która rozmawiała ze swoim dzieckiem. Burzyła się z powodów bliżej nieokreślonych i robiła niepotrzebne przedstawienie. – Patrzcie na tę durną kobietę – powiedział głośno, aby wszyscy to usłyszeli.

– Znam tę babę – oświadczył Wark. – Znęca się nad tym synkiem. Kiedyś myślałem, że zasługuje na coś takiego, bo synek jest nieznośny, ale teraz to ona przesadza. Zresztą, cała ta rodzina ma nasrane w głowie.

– Widzicie tę drugą – wtrącił się Gomola, jakby sprawy chłopca wcale go nie obchodziły, wskazując na kobietę wychodzącą z pobliskiego lasu. Było już prawie ciemno, gdyż słońce jeszcze nie zdążyło się schować za widnokrąg, lecz dobry wzrok Gomoli pozwolił mu zobaczyć, że miała niewyraźną twarz, a oczy wydawały się pływać w oczodołach. Początkowo nie wierzył w to, co widział, ale powoli uzmysławiał sobie, że jednak się nie myli. Jeszcze nigdy nie widział czegoś podobnego.

– A co to kurwa jest?! – oburzył się Wark. – Przecież ona jest zaćpana na amen.

– Widzisz jej oczy, to nie po prochach. Ma jakiś problem – rzekł Gomola.

– Może potrzebować pomocy – oznajmił Hutson.

– Pieprzysz. Uciekła z domu wariatów i szuka schronienia. Znałem już takich i wiem, że ratowanie czubków jeszcze nikomu nie wyszło na dobre, zawsze są jakieś problemy – ozwał się sucho Wark, po czym zagłębił się w kuflu piwa – A zresztą, co nas to

obchodzi? Czy tobie Tomek ktoś pomógł, kiedy znalazłeś się w kropce? Czy wam ktoś pomagał? Zawsze byliśmy kopani w tyłek.

– Co nie znaczy, że tak musi być zawsze. Wypiłeś o kufel za dużo – odpowiedział Hutson. – Nie wiem jak wy, ale ja pójde to sprawdzić.

Czy chciał, czy nie chciał, Wark też wyszedł. Od określonego celu trójkę dzieliło jedynie pięćdziesiąt metrów. Szli szybko, lecz ostrożnie. Zauważyli, iż słońce, które jeszcze kilka minut było na niebie, teraz znajdowało się już naprawdę nisko. Patrzyli na kobietę, która na ich widok poczęła prosić o pomoc. Nie dziwili się temu, wyglądała okropnie. Wark był cicho, być może zdał sobie sprawę z tego, że był w błędzie i by więcej się nie kompromitować, postanowił czekać, co nastąpi.

– Dobrze się pani czuje? – pytał Gomola.

– Wezwijcie pogotowie... – wymamrotała kobieta.

– Może przywlokła jakąś chorobę z jakiejś pieprzonej Afryki. Lepiej stąd idźmy – nie wytrzymał Wark.

– Zamknij się! – zdenerwował się Hutson. – Co możemy jeszcze zrobić? – spytał, lecz kobieta zemdląła. Upadając na ziemię, wydała z siebie nieludzki odgłos przypominający trochę munczenie krowy, poczęła się trząść, jakby dostała ataku epilepsji. – Co jej jest? – pytał.

– Lepiej nie mieszajmy się do tego – powtarzał Wark.

Koledzy go nie słuchali, chcieli jej pomóc. Zrobiło się ciemno, toteż wzywanie przechodniów było niemożliwe, gdyż po prostu nie było już nikogo. Słońce całkowicie skryło się za horyzontem, ale to nie robiło dla nich żadnej trudności. Próbowali ją obudzić, lecz to nie przynosiło rezultatów, wręcz przeciwnie, kobieta zaczęła wydawać z siebie głucho, demoniczne odgłosy. Jej konwulsje ustąpiły. Myśleli, że już po wszystkim, był to jednak początek tego, co miało nastąpić. Twarz kobiety w jednej chwili zmieniła się w galaretowatą, cuchnącą maź. Krew, która dotychczas brała w organizmie funkcję zasilania mózg w życiodajny tlen, teraz tryskała z pęcherzy znajdujących się na policzkach i czole. Zebrani wokół nie wiedzieli, co się dzieje. Chcieli coś zrobić. W tym czasie kobieta uspokoiła się i co chyba najważniejsze, krew przestała tak potwor-

nie tryskać. Mężczyźni nachylili się, gdzieś w duchu poczuli ulgę, że cała ta sytuacja nie wygląda już tak tragicznie. Po raz drugi mylili się. W ułamku sekundy ręka kobiety chwyciła za gardło Warka i zaczęła je wyrywać. To, co kiedyś przypominało paznokcie, wbiło się w przełyk mężczyzny. Koledzy zostali całkowicie zaskoczeni takim obrotem sprawy.

– Co jest, kurwa?! – ryknął Gomola, po czym zaczął kopać leżącą jeszcze kobietę.

– Puszczaj! – na pomoc ruszył Hutson.

Tymczasem z gardła Warka trysnęła krew. Kobieta wstała, lecz wyglądała zupełnie inaczej. Było to już piekielne monstrum, które na napaść dwóch intruzów odpowiedziało tym samym. Rzuciło jeszcze żywe ciało w ich kierunku. Zdążyli się osłonić. Wtedy zobaczyli potwora najlepiej, chcieli uciekać, ale nogi odmówiły im posłuszeństwa. Swoją kończyną machnął w kierunku Gomoli, trafiając w pierś, jednocześnie ją rozrywając i zagłębiając się w niej. Krew niczym z fontanny zaczęła pryskać, trafiając w osłupiałego z tego wszystkiego Hutsona. Kiedy kawałek jelit kolegi wylądował na twarzy Warka, Hutson nie wytrzymał, cały jego obiad wyjechał mu z żołądka, odkładając trochę chwilę, która i tak miała nastąpić. Monstrum z całą swoją siłą wpadło na Hutsona. Bestia darła skórę twarzy mężczyzny odsłaniając białą czaszkę. Kości zaczęły pękać, lecz ich właściciel jeszcze żył i wył z bólu. Czuł, że zbliża się upragniona śmierć, nie mylił się... Monstrum, gdy dostatecznie nabawiło się ciałem Hutsona, zbliżyło się do Warka, który leżał jęcząc i trzymając się za krwawiącą szyję. Przybliżało się powoli. Również powoli chwyciło po raz kolejny za szyję, robiąc przy tym większe spustoszenie niż wcześniej. Tym razem Wark nie miał szans zatrzymać krwawienia, którego źródłem była tętnica szyjna. Potwór wydawał się być zadowolonym z siebie. Krew padała bezpośrednio na niego, zalewając jego krwiożercze, z zielonym odcieniem spojrzenie. Postanowił rzucić ciało w kierunku szczątków Gomoli. Uczta dobiegała końca. W mroku bezkسیężycowej nocy wszedł w las, który dla tego rodzaju stworzeń mógł być jedynym domem. Zniknął w ciemnościach, szukając nowych ofiar.

Pięć

Zapowiadała się piękna pogoda. Dzieci, które zdążyły już zjeść śniadanie, wyszły przed domy bawić się. Zdawało się, że wszyscy w okolicy wyszli na spacer, że nikt o zdrowym umyśle nie pozostanie obojętny na taki dar natury. Niestety Kamiński musiał zostać, musiał pilnować i czekać na jakieś wiadomości policji i innych instytucji zainteresowanych tym niecodziennym zjawiskiem. Siedział na swoim ulubionym fotelu i wpatrywał się w lekko uchylone okno, przez które dobiegały odgłosy ulicy. Chciało mu się płakać. Anna była dla niego wszystkim, nie wiedział, jak jego życie potoczyłoby się bez niej i czy miałoby taki sens jak teraz. Lecz w tym momencie był bezsilny, mówiono mu, że przypadek Anny jest o tyle inny, że po prostu nie spotkano się jeszcze z czymś podobnym. Mówiono mu również, że najprawdopodobniej ma to jakiś związek z wypadkiem drogowym, w jakim uczestniczyła jego żona. W tym trudnym dla siebie i dla całej rodziny okresie zapomniał o innych problemach. Co godzinę dzwonił ktoś i pytał, czy coś już wiadomo i czy dobrze się czuje. Jeśli dzwoniła teściowa, odpowiadał i z kolei on pytał, czy u dzieci wszystko w porządku. Był załamany i tylko słowa teściowej dodawały mu najwięcej otuchy. Działo się tak może dlatego, że on tęsknił do żony, ona zaś tęskniła do córki. Tylko to im zostało. Miał potworne szczęście, jedynie garstka jego kolegów mogła się pochwalić takimi dobrymi stosunkami z teściową jak on. W wielu sprawach mógł szukać poparcia właśnie w niej, działo się tak, ponieważ gdy miał zaledwie cztery lata, zmarła jego matka, a matka jego żony spełniała teraz wszystkie funkcje, jakie spełniać powinna właśnie matka.

Z trudem powstrzymywał się od wybuchu płaczu. Chciał, by to wszystko jak najszybciej się skończyło, ale nie zawsze mamy to, co chcielibyśmy mieć i tak też właśnie pomyślał.

– Halo, czy jest tu ktoś? – głos dochodził zza drzwi, jednocześnie przerywał długą chwilę zadumy Kamińskiego, który w tym czasie skoczył do drzwi, z trudem nie przewracając się o lekko wystający próg dzielący dwa pokoje.

– Już, już idę – krzyknął, by mieć pewność, że ten ktoś nie odejdzie. W końcu udało mu się dotrzeć do drzwi, które z kolei zostały natychmiast otwarte. – Przepraszam pana, nie słyszałem dzwonka.

– To ja przepraszam, że niepokoję. Nazywam się Jan Mochol i prowadzę badania, które są niestety ściśle tajne, a które dotyczą pańskiej żony.

– Słucham? – nie dosłyszał. Chciał wiedzieć jak najwięcej.

– Prowadzę pewne badania, a nawet dochodzenie dotyczące pana żony. Wiem, że jest pan w ciężkiej sytuacji i wiem, że jest panu trudno o tym mówić, ale chciałbym pana poprosić o współpracę.

– Proszę wejść – powiedział cicho Kamiński, po czym weszli do środka.

– Może zacznę od tego, co tu teraz u pana robię. Otóż przysłano mnie w celu nakłonienia pana do współpracy. W drzwiach nie mogłem pana o niczym poinformować, gdyż są to informacje ściśle tajne, a nasza agencja nie może sobie pozwolić na jakiegokolwiek niedociągnięcie.

– Przepraszam, jaka agencja? O czym pan mówi?

– Do tego zmierzam. To, czego pan się teraz dowie, jest objęte tajemnicą, zważywszy na media, które, nie będą ukrywał, mogłyby doprowadzić do śmierci pana żony...

– Gdzie jest moja żona?! – krzyknął. – O czym pan mówi?! Chciałbym się z nią natychmiast widzieć.

– To nie jest takie proste. Nim jeszcze zacznę, uprzedzam, iż może pana to zaszokować. Pana żona jest szczególnym przypadkiem. Przypuszczamy, iż zamordowała ona grupkę mężczyzn i jest bardzo niebezpieczna...

– Co pan pierdoli... Przychodzi pan nie wiadomo skąd i oskarża żonę o jakieś bzdurne mordy... Może lepiej będzie, jak pan sobie pójdzie.

– Proszę mnie wysłuchać...

– Czego tu słuchać? Nie wiem, co robić. Mam w głowie różne myśli, a pan mi snuje takie pierdoły.

– Dlatego jest to takie tajne. Żona została zainfekowana nieznaną nam substancją, co wiąże się z jej zachowaniem. Podejrzewamy, iż powoduje to reakcje w jej organizmie, których niestety nie potrafimy jeszcze zidentyfikować. Sądzymy także, że żona jest w poważnym niebezpieczeństwie.

– W takim razie czego pan chce ode mnie? – uspokoił się. Zdziwił się jednocześnie, że nie wyrzucił natręta ze swego domu, ale cała ta historia wydawała się być przynajmniej w części prawdziwa.

– Prosimy pana o współpracę. Sądzymy, że pomoże pan nam ją uratować. Sprawa ta jednak nie może ujrzeć światła dziennego, ponieważ, jeśli to dostanie się choćby do prasy, mogą powstać swego rodzaju kółka myśliwskie. Z góry przepraszam za to sformułowanie, lecz najlepiej to obrazuje zaistniałą sytuację. Wiem, że jest panu ciężko, ale zgadzając się będzie pan informowany na bieżąco o postępie w dochodzeniu.

– Cały czas mówi pan w drugiej osobie. Gdzie są pozostali? – chciał wiedzieć jak najwięcej, chciało mu się również płakać i to skłaniało go do pozytywnej odpowiedzi. Zresztą, co miał czynić. Całe to czekanie na nie wiadomo co sprawiało, że miał różne zwiady i myśli, które nie zawsze mogły ukazywać stan faktyczny.

– I tu jest pies pogrzebany... Te informacje są tajne dla połowy rządu, toteż proszę mieć się na baczności. Ale do rzeczy: zajmujemy się przypadkami, którymi nikt nie chce się zajmować, ten jest szczególny, ponieważ, jeśli już istniał taki przypadek, to pochodził on od nas i nie obejmował osób cywilnych. Tu jest inaczej. Tu po prostu nie wiemy, od czego zacząć. Jest to o tyle trudne, że nie można tego dać do wiadomości publicznej. Jesteśmy agencją złożoną z wojskowych i cywili, którzy stoją trochę ponad prawem. Więcej naprawdę nie mogę nic powiedzieć.

– Czy mógłbym przez chwilę pomyśleć? Jakoś nie mieści mi się to w głowie.

– Niech pan porządnie się zastanowi. Jeśli to nie kłopot, zjawie się jutro. Będzie miał pan więcej czasu.

Pożegnali się. Zamykając drzwi, Kamiński zapadł w zadumę. Nie mieściło mu się to w głowie. Jakiś facet, który być może jest

jakimś naciągaczem, chce po prostu wyłudzić od niego pieniądze. Z drugiej strony facet dużo wiedział na temat wypadku Anny i nie krył się z tym. Wydawał się być autentycznym. Poświecił przez moment jakąś legitymacją, która, szczerze mówiąc, nic nie wyjaśniała, ale współgrała znakomicie z całą tą otoczką. I tak w tym stanie nie potrafił zebrać choć części myśli, które z kolei ukazywały się z jak najczarniejszej strony. Chciał już mieć to wszystko za sobą, chciał być znowu razem z ukochaną osobą, tulić ją i całować, chciał się z nią przynajmniej zobaczyć. Ta rozłaka doprowadzała go do prawdziwego szaleństwa, lecz co miał czynić. Gdyby to od niego zależało i wiedziałby, że coś takiego będzie miało miejsce, nigdy nie pozwoliłby jej jechać na jakąkolwiek delegację. Lecz teraz był bezsilny, jedyną rzeczą, jaka mu została, było czekanie na tego gościa. Był prawie pewien, że nie powiedział mu on całej prawdy. Ten Mochol był jakiś dziwny. Wprawdzie i tak powiedział dość dużo, co dawało jakiś zarys tej sprawy, ale nic konkretnego na tyle, by do końca uspokoić zrozpaczonego męża.

Gdy Kamiński wyjrzał przez okno, zdziwił się, gdyż nie przypuszczał, że rozmowa z tym facetem zajmie mu tyle czasu. Nie przypuszczał również, iż myślenie na ten temat sprawi, że straci poczucie czasu. Przecież tak na dobrą sprawę nie miał jeszcze nic w ustach, a tymczasem słońce zaczynało chować się za widnokręgiem, odsłaniając to piękno, którym kiedyś zachwycił się Kamiński. Teraz nie było tych pięknych chwil, zgubiły się w gąszczu przygniatających wiadomości, ciemnych myśli, w ciernistych zaroślach bólu i ludzkiego umysłu, nie pozwalających się przezwyciężyć i doszczętnie zwalczyć. Nie było niczego, nawet dzieci, które bawiły się na ulicy, poszły do swoich przytulnych rodzin, gdzie mama i tata czekają z ciepłą kolacją.

Sześć

Wschodziło słońce. Cienie powoli przesuwwały się razem z białymi obłokami, które zwiastowały jednak dobrą pogodę, bo rzeczywiście taka się zapowiadała. Wszystko zapowiadało słoneczny dzień, ptaki, które budziły się i zaczynały już wcześniej rano walczyć o kolejną porcję robaków, aby potomstwo mogło przeżyć, mrówki, które wyległy ze swoich domostw, aby znowu harować dla wspólnoty, by ich jestestwo jeszcze trwało. Było tam jeszcze coś, co nie pasowało do reszty świata, aczkolwiek stworzone przez naturę, niechciane, odepchnięte, nie rozumiane – leżące ciało kobiety.

Nikt nie interesował się tym, jedynie mrówki szukały tam czegoś, zresztą zawsze szukały. Leżała niczym mumia, przykryta do połowy liśćmi, igłami i gałęziami. Miała zamknięte oczy, o ile takie posiadała, na twarzy pojawiły się wszystkie żyły, przez które pulsowała lekko krew, lecz to było dostrzegalne. Zresztą żyły widoczne były na całym ciele. Szczególną uwagę budziły jednak dłonie, na których wszystkie paznokcie były zerwane i przez powstałe w ten sposób szczeliny uchodziła powoli krew, która zaczynała krzepnąć, opuszczając ciepłe ciało na rzecz chłodnego, rannego powietrza. Kobieta leżała nieruchomo, jakby w oczekiwaniu na jakąś pomoc. Była sama wśród tych budzących się drzew. Nie, była z kimś lub czymś, lecz to coś było w niej, w środku ukryte niczym uciekinier z więzienia. Lecz może to nie chciało uciekać, może jedynie bało się konsekwencji swego postępowania, a może przeciwnie, niczego się nie bało i było ścigającym. I tak go nikt nie rozumiał...

Kobieta żyła. Jej oddech był wolny, zaspany jak cały ten las. Przy wdechu dało się słyszeć ciężki, duszący odgłos, przy wydechu usta (to, co po nich zostało) lekko otwierały się. Nic nie wskazywało na to, iż właśnie te usta zamieniły się kiedyś w bestialskie narzędzie służące do rozszarpywania i połykania ludzkich wnętrzności. Być może później zamienią się w coś podobnego, ale na razie były, jakie były i leżąca kobieta nie mogła na to nic pora-